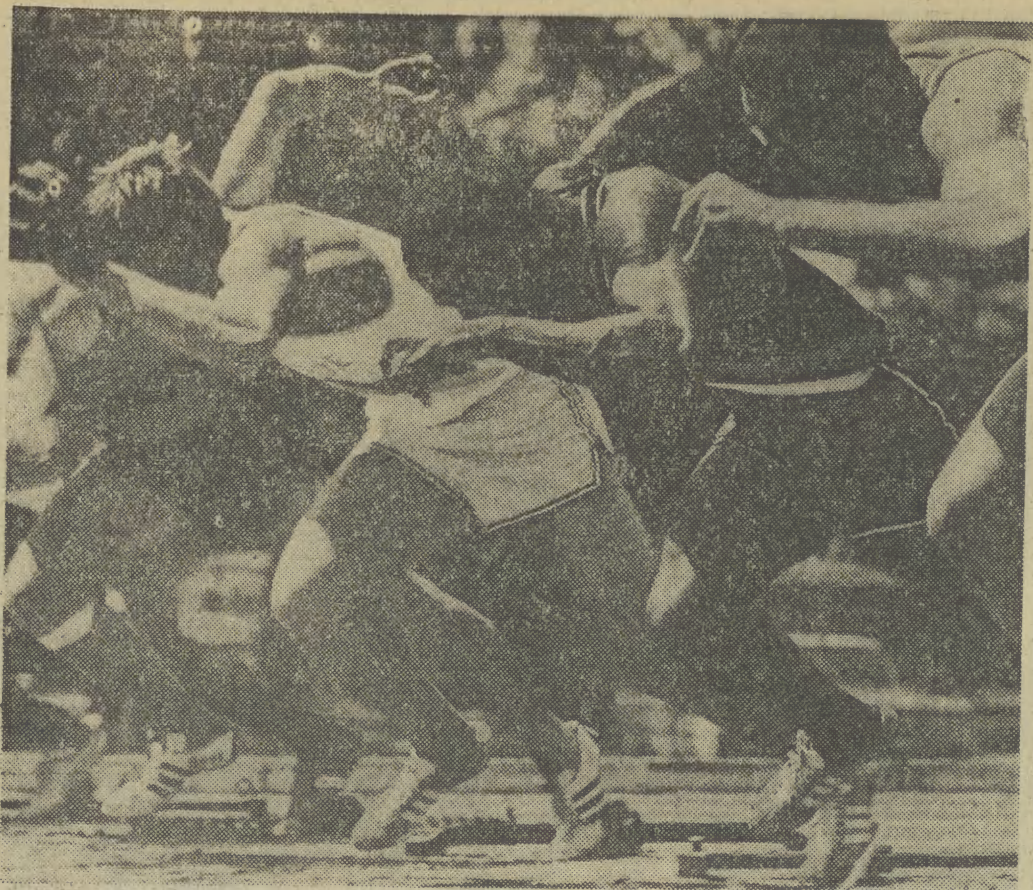


FOT. BOGUMIŁ OPIOŁA



RAKIETA W NOGACH

W walce o sekundy, centymetry coraz trudniej wdrapać się na szczyt tabeli sportowych konkurencji. Wyniki są coraz bardziej wyrównane. Rezultaty wielu dyscyplin przekroczyły już określone nie tak dawno przez fachowców „granice ludzkich możliwości”. Gdzie kres, jakie są źródła różnic w potencjalnych możliwościach poszczególnych ludzi?

Gość z pomocą

Angielski fizjolog Archibald Hill wykazał doświadczalnie, że szybkość reakcji, a więc skurczów mięśni, refleksy, zależą od temperatury ciała. Podniesienie jej tylko o dwa stopnie, bez szkody dla zdrowia, skróciłoby szybkość zachodzących w organizmie reakcji o 20 proc. Przykładem wysoka sprawność mięśni ptaków mających wyższą od człowieka temperaturę. Lepsza znajomość fizjologii pozwala na poprawianie rekordów. Zakazane w sporcie farmakologiczne środki dopingujące wykorzystują właśnie te reakcje organizmu ludzkiego. Ich coraz powszechniejsze używanie niejednokrotnie kończy się tragicznie.

Całym ciałem

Propagowana niegdyś przez znanego amerykańskiego trenera Boba Hifmana metoda siłowego treningu ciężarów, miotaczy, polegała nie na ruchu, a więc dynamicznym ćwiczeniu mięśni, lecz na podnoszeniu i trzymania ciężarów w najróżniejszych pozycjach. Kłeski amerykańskich ciężarów, niegdyś bezkonkurencyjnych, wykazywały niestrawność tych założeń. Dziś sportowcy trenujący w oparciu o zasady zgodne z zaleceniami fizjologii, mechaniki ruchu osiągają rezultaty znacznie lepsze. Tajemnica ich sukcesów polega na harmonijnym rozwijaniu całego organizmu. Uważano kiedyś, że talent biegacza zależy od dobrych nóg, zaś miotacza od silnych rąk. Obserwacje fizjologiczne obalają te poglądy. Treningi jednostronne prowadzą do miernych rezultatów. Stwierdzono np., że podczas gdy treningi jednostronne zwiększają wytrzymałość i szybkość w granicach 10–15 proc., to wszechstronne ćwiczenia przyczyniają się do zwiększenia fizycznych możliwości sportowca w granicach 30–40 procent.

Wszechstronność

Walery Brumel, fenomenalny radziecki skoczek wzwyż, który uległ nieszczęśliwemu wypadkowi, trenował podnoszenie ciężarów, gry sportowe, uprawiał ćwiczenia wszechstronnie wzmacniające i zwiększające szybkość. Osiągał dzięki temu wspaniałe rezultaty nie tylko we własnej dyscyplinie, Brumel biegał np. 100 m w 10,8 sekundy, skakał w dal 7,27 m, rzucał kulą 14,61, skakał o tyczce ponad 4 m. Wyniki te pozwalały mu na startowanie z powodzeniem we wszystkich tych konkurencjach. W skoku wzwyż jest dotychczas nierównany, miał bowiem najlepsze przewyższenie, to znaczy, że nikt dotychczas nie skoczył tak wysoko powyżej swego wzrostu jak on — 57 cm.

Ile waży ciós?

Biomechanika zaprzęga do badań bogaty arsenał najróżniejszych środków technicznych. Elektronowe czujniki mierzą w czasie treningu np. siły, prądy czynnościowe, fizjologia obserwuje działalność mięśni, serca, układu oddechowego, hormonów. Wysokie treningowy sportowców kształtuje bowiem możliwości ludzkiego organizmu.

Zaskakujące są rezultaty niektórych pomiarów. Cios boksera wagi ciężkiej osiąga niekiedy „wagę” 500 kg. Skoczek w dal przy odbiciu naciska stopą kładkę z siłą 750 kg. Najpotężniejsze jest jednak kopnięcie piłkarza. Siła uderzenia mierzona w kg dochodzi niekiedy do 1,2 tony i może ona nadać piłce szybkość 100 km na godzinę. W meczu tenisowym między asami piłki kursują z szybkością dochodzącą do 200 km na godzinę.

Przy takich szybkościach, naciskach, konieczna jest znajomość praw mechaniki. Drobną niedokładność w uderzeniu, ustawieniu nogi, położeniu dysku czy oszczepu, decyduje o wynikach bądź kontuzjach. Ich stałe poprawianie to właśnie jedno z najważniejszych zadań trenera, współtwórcy rekordu.

Dobrze być kibicem

Nie tylko jednak uprawianie sportu rozwija organizm. Lekarze sportowi, badając nalogowych kibiców stwierdzili, że oczywiście, wzmocniona w pozytywnym sensie pobudliwość w czasie obserwacji zawodów, także działają korzystnie na organizm. Nalógowi kibice dzięki wydzielającemu się pod wpływem wrażeń hormonowi — adrenalinie — mają także sprawniejszy układ nerwowy, lepsze samopoczucie, znacznie później zapadają na miażdżycę. Ruszajmy więc na stadiony.

ANDRZEJ JARUZELSKI

W RYT-MIE TAM-TA-TA-MU



FOT. ARCHIWUM

śól — wyżej od wierzchołka Gerlach. Czuł zresztą wpływ warunków wysokogórskich, nie ma prawie upału. W powietrzu dwa orły i niesłychana cisza. Jaką może dać dzisiaj chyba już tylko pustynia. Nasz przewodnik mówi, że ten pustelnik jest pośrednikiem w nylkim kontakcie między światem, a mieszkańcami zagubionych w górach osad tuareckich. Przytoczę dalej relację z jeszcze jednego górskiego wypadu:

„Rano dojeżdżaliśmy do następnej po Araku oazy Tam trzeba było przeczekać żar dnia. Kiedy reszta wyciągnęła sobie składane foteliki i zabrala się do picia, trójka: Andrzej, Janek i ja zrobili sobie całkiem ładną i uwalę nie latwą wycieczkę. Zdobylismy piętrzący się kilkaset metrów nad pusztynią szczyt. Wprawdzie na dole Jacek machnął ręką, że to pół godzinki, ale my nie lekceważyliśmy tej eskapady i do brze się stało. Do mojego plecaka wrzuciliśmy sprzęt fotograficzny, 3 litry wody, wiatruski i „Dermosan” przeciw słońcu. Na górę było 2 godziny, z powrotem jedna. Droga technicznie na poziomie wschodniej części grani Orlej Perci — tzn. bardzo ciężka dla nieuprzedzonych, bardzo prosta dla tatarnika. Mniej więcej przepaść, ale okrutny żar. Topografię cennie się tak: najpierw skłamy żebrem, które dalej sięgnęło się w ostrą głąb, a dalej piargiem wzdłuż podnóża skalnych ścian spadających z przestronnego, płaskiego szczytu, z szerokim obejściem głównego urwiska i krótkim odcinkiem przez skały. Miejscami na czworakach. Wspaniałe formy skalne, góry, kamieniste żłoby, małe turnie, asypiska i gładzie. Pustka, martwa cisza, najmniejszej roślinki. Wreszcie ogromna satysfakcja na szczycie, zdjęcia, panorama pustyni z perspektywą dobrych 60 — 100 km. Woda rozsądnie dozwolana poszła cała. W południe przy schodzeniu już nie daleko się wytrzymała. Człowiek chował się pod skałą, biegł do następnej i znowu chował się, żeby uciec przed słońcem. Balem się nawet po powrocie, że będę miał ciężkie kłopoty, ale po kilku godzinach leczenia w cieniu pod samochodem owinęty mokrym ręcznikiem przyszedłem do siebie...”

Po krajoobrazach kolej na mieszkańców Sahary. Oto jak wyglądała wizyta w osadzie przedstawicieli plemion sudańskich w In Guezam, na granicy Nigru. „Czarnie dzieciaki z osady i żołnierze z jednostki co jakiś czas zaglądają do nas. Wybieramy się do uioków — tam, gdzie wieczorem przed zachodem słońca przywitał nas

dziwięk tam-tamów Czarnej Afryki. Wszyscy marzymy o posiadaniu takiego bębna.

Zachodzimy do trzcinowych chat — najpierw obskakują nas dzieciaki, potem wszyscy mieszkańcy życzliwie witają się, każdy podaje rękę. Wrażenie nędzy, ale ludzie uśmiechnięci, jakby szczęśliwi. Podobno to my, Europejczycy jesteśmy niestrawnie przekonan, że żyjemy w najlepszym ze światów. Chętnie wymieniamy wyroby ludowe na przemysłowe drobiazgi — latarki, szczyrki itp. W centrum, na wzgórkach stojącej i milcząco siedzą mężczyźni. Nieco dalej, pod największą chatą na macie kobiecy i dzieci. Tam jest tłok, hałas i harmider, w środku tam-tam, chórek zawodzi coś w rytm bębna. Tam-tam, to skóra na trzcinowym szkielecie, którą co chwila skrapia się stojącą w dzbanie wodą; i w której oprócz tego wszyscy maczają ręce; i z której gotuje się na par. Gra się gólmymi rękami. Tam-tam się nie sprzedaje, tam-tam to rytuał. Jesteśmy zaproszeni do wspólnej zabawy”. Henryk, doktorant astrofizyki teoretycznej tańczy, a ja klękam w środku kobiet przy bębnie. Kiedy gram, kobiety wkładają mi na rękę bransolety, a jak przestaje, zdejmują zaraz, ciągle coś zawadza. Z małego czajniczka do malutkich czarek wlewają nam gorący napar. Odchodzimy dopiero, kiedy zrywa się gorący wiatr.

I w samym Tamanraset ostatniego wieczoru dźwięki egzotycznej muzyki wygnały nas z obozowiska. Z okazji święta narodowego Algierii zorganizowano w mieście jakiegoś ludowego występu. Muzyka Tuaregów była rzeczywiście niecodzienna, rytm instrumentów perkusyjnych, porywająca, na ile zadowolenia kobiet. Ale to nadawało się raczej do słuchania, niż do patrzenia, stałem raczej z zamkniętymi oczami — impreza była przy świetle elektrycznych żarówek, nagłaśniana przez głośniki, paru artystów czapalo po scenie w tenisówkach, a jeden nawet, jak w europejskim jazz-clubie trzymał cały czas w gbie papierosa.

Teraz czeka nas Maroko, będą jednak w następnej korespondencji chciał jeszcze wrócić do niezwykłej stolicy północnej Sahary — Ghardaji i do oaz El Gdei.

I. M. ZAZULA

ZA KULISAMI REKORDÓW

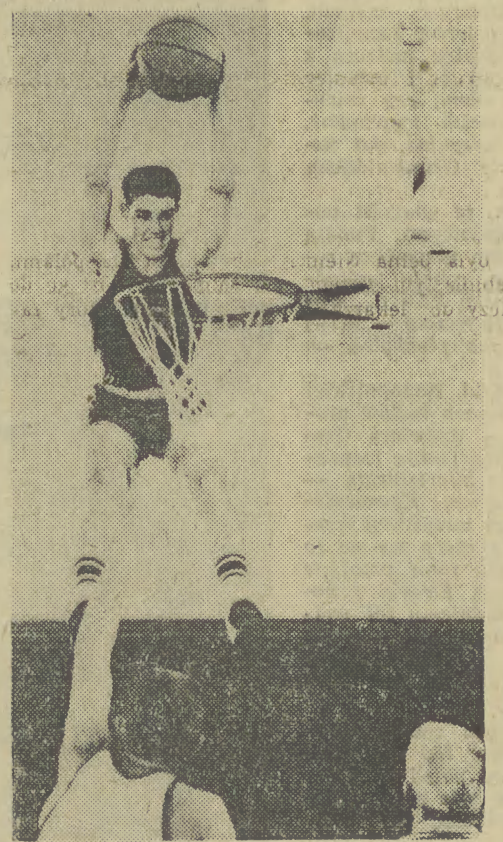
Coraz częściej na stadionach bądź halach sportowych można zaobserwować dziwne sceny. Ludzie, ubrani zazwyczaj w białe fartuchy, uzbrojeni w przedwzrostne aparaty, po zakończonym biegu lub walce „porwywają” zawodnika do szatni, a nawet badają go bezpośrednio na boisku. Chodzi o to, jak zniosł on wysiłek, jak reaguje jego serce i oddech? Na te i wiele innych pytań starają się znaleźć odpowiedzi przedstawiciele różnych dziedzin wiedzy bezpośrednio w trakcie walki sportowej lub po jej zakończeniu. Nauka wyszła już bowiem z laboratoriów i przeniosła się na areny sportowe i do sal treningowych.

Szybki rozwój nauki o sporcie, jaki obserwujemy w ostatnich latach, determinowany został wzrastającą rywalizacją sportową na arenie międzynarodowej. Dzisiaj niemal

lub nawet świata (jak w wypadku świetnego Belgę Puttemansa).

Badania naukowe przyczyniają się do wręcz zaskakujących odkryć. Nie tak dawno szwedzki uczyń robił eksperymenty z przetwarzaniem krwi sportowcem. I co? Stwierdził? Otóż pobranie zawodnikowi pewnej ilości krwi, a następnie ponowne jej przetoczenie znacznie podwyższa możliwości organizmu. Czy jest to etyczne i możliwe do stosowania na szerszą skalę? Raczej nie, ale kto się ogląda na takie drobiazgi w pogoni za medalem lub rekordem.

A jednak sport, pod mikroskopem naukowców, nie przestał być szalenie pasjonującym widowiskiem, które zawsze obfituje w wiele niespodzianek. Coż, wszystkim jeszcze nauka nie umie dokładnie zmierzyć, zważyć, sklasyfikować. Ale to tylko kwestia



Około roku 2000, a nawet wcześniej — według prognoz radzieckiego naukowca prof. Korobkova — trening sportowy będzie programowany przez specjalne centra komputerowe. Opierając się na setkach informacji będą one układały tygodniowe recepty treningowe dla każdego zawodnika.

Dzisiaj może to brzmieć jeszcze fantastycznie, ale już jutro może stać się rzeczywistością.

HENRYK ŻAK

Zdjęcia: Archiwum

KOMPUTERY NA BOISKU

wszystkim ekipom olimpijskim towarzyszą całe sztaby naukowców z wielkim bagażem najrozmaitszej aparatury badawczo-kontrolnej. Lekarze, psychologowie, antropolodzy, fizjolodzy a nawet socjolodzy włączają się do badań różnych zjawisk, fizycznych i psychicznych, które towarzyszą współczesnemu sportowi wyczynowemu. Wyniki badań tych dyscyplin spina, niejako wspólną kłamrą, najmłodszą gałąź wiedzy — teoria treningu sportowego.

Pod mikroskopem

Igrzyska Olimpijskie w Meksyku, które odbywały się na znacznej (powyżej 2000 m) wysokości nad poziomem morza, dały asumpt nauce do wykrycia wielu ważnych elementów. I tak np. wiadomo już teraz, że w dyscyplinach wytrzymałościowych (biegi średnie i długie, kajakerstwo, wioślarstwo itd.) trening na dużej wysokości znacznie zwiększa wydolność organizmu. Toteż obecnie najlepsi długodystansowcy odbywają w trakcie sezonu regularne „sejfy” treningowe w ośrodkach wysokogórskich, aby po zejściu na niższy bić rekordy kraju, Europy,

czasu. Coraz bardziej precyzyjna aparatura badawcza, lepsze metody doprowadzą prędzej czy później do dalszej optymalizacji treningu w sporcie wyczynowym.

Stworzenie treningiem

O sukcesach sportowców NRD nie trzeba pisać, są one powszechnie znane. Nie wzięły się jednak z przypadku. Z każdą grupą najlepszych w danej dyscyplinie pracują tam na co dzień zespoły naukowców, mające do dyspozycji najnowszą aparaturę. Wszelkie informacje przekazywane są natychmiast trenerom, którzy na tej podstawie sterują treningiem swoich podopiecznych. Podobnie ma się sprawa w Związku Radzieckim, coraz lepiej to sprawy rozwiązują Bułgarzy, trenerzy NRF i kilku innych krajów produkujących w sporcie. A u nas?

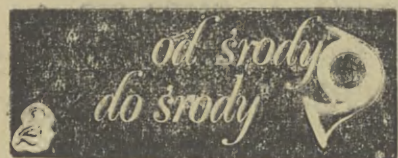
Niestety, sprawa mariażu nauki ze sportem wciąż nie ma określonych ram. Brak aparatury, naukowców znających specyfikę dyscypliny, konserwatywni trenerzy — to główne przyczyny. Wiadomo jednak, że jeśli szybko tych spraw nie rozwiążemy, trudno będzie np. marzyć o sukcesach na Olimpiadzie w Montrealu.

CODZIENNOŚĆ

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

Kierownik inżynier Kwieciński podaje mi informacje o budowach tak poważnie i beznamiętnie, jakby składał oficjalny raport. Wszystkie terminy zostaną dotrzymane. Wiadukt na Prądnickiej będzie gotowy w końcu roku. To zgłoszony projekt racjonalizatorski zespołu inżynierów z KPRM umożliwił takie skrócenie terminu — poprzedni mówił o 75 roku. Na wiadomość o tym, że zator zobowiązała się skończyć szybciej, Nawiąska? Nie potrzeba nazwisk wymieniać, my się nie ofizjujemy. Nie, KPRM nie będzie robiło ani przejęcia ani mostu na Wilcze. To należy do MPRI. Braki?

Tu włącza się mistrz: Sprzetu, transportu, ludzi. „Tak jest w całej Polsce” — mityguje mistrz kierownik. „Sprzet, ile razy z ulicy kieszni płaciliśmy” — nie daje za wygraną mistrz. „Panie Jurku, to proszę nie interesuje, bierze pan za 100 zł dźwięk z ulicy.



KATARZYNA BANACHOWSKA

KORESpondencja

„Stripteaserka”

Artykuł red. Janusza Hańderka „Stripteaserka” jest interesujący, napisany z wyczuciem, lecz taktywny; autor oszczędził czytelnikom komentarzy, słuszenie sądząc, że sami odpowiednio skomentują wypowiedź, która „artystka” łaskawie udzieliła dziennikarzowi, nazywając ją „niechętnie subtelnie „duchowym stripteasem”, co nie przeszkodziło jej jednak zażądać 500 zł za czas stracony na ukazanie swojej uroczliwej i artystycznej duszy. Wydaje mi się jednak, że właśnie w tym szczególnym wypadku komentarz był potrzebny! Takiej perwersji, takiego tupetu, nie czytaliśmy chyba już dawno; stripteaserka zatraciła wszelki umiar, przekroczyła wszystkie dopuszczalne granice, nie zachowała nawet elementarnego dystansu: pomiędzy obnażaniem na estradzie przed (jak sama się wyrażała) pijaną, prymitywną widownią — biustu, pępkiem, wreszcie wargami łonowymi, a uczucia leżącego ośmielnia się postawić znak równości: „Pracuję tak jak inni, nie jestem pasywnym!” W zasadzie stała erotyką zupełnie bezróżnicową wobec bezwładu i głupoty podobnej wypowiedzi. Za 10 minut rozbudzenia najszybszych męskich instynktów bierze 1.000 zł — i nie uważa się za pasywną! Pracuje jak inni! Żadna sulowa zniżka nie pobiera pensji 2.000 zł MIE-

SIĘCZNIK, przez całe lata dźwigając w swych ramionach ludzi żywych i umarłych, a stripteaserka, biorąc 2.000 za 10 minut gołoty publicznej, nie jest pasywną i pracuje tak samo jak ona! Dla mnie osobiste podobna wypowiedź wymagałaby interwencji nawet prokuratora. Bowiem stanowi ona najokropniejszą zagroźnię dla moralności młodzieży, zwłaszcza dziewcząt, które przecież czytają prasę, prześledziły z aparytem tehem reportaż red. Hańderka — i będą marzyć o szybkiej, opłacalnej, a tak zaszczytnej (!) i potrzebnej społeczności karyerze, jak obnażanie się za 1.000 — w lokalu, a 2.000 — prywatnie, przez 10 minut.

„Bez widów nie byłoby naszego zawodu”. Oto znaleźli się sprawcy jej upadku, gdyż ktoś — brzo Bożej — chciał jej profesję uczynić za upadek. Czyżby ona „Diana” uważała, że alkohol musi być produkowany dlatego, że istnieje alkoholizm? A czy nie powinno być odwrotnie? Dlatego istnieje pijacy, że istnieje alkohol i jest dostępnym nieporównywalnie łatwiej, niż mięso i odpowiedni rozmiar oraz gatunek bułki dla dzieci.

Gdyby nie ich instynkty byłaby to dziś skromna urzędniczka! — spowiada się redaktorowi Hańderkowi. Dławiła rękę, że mimo tych niezachwalonych „instynktów” męskich tyś się kobiet jednak jest „skromną urzędniczką”. Zapewne panowie „z in-

stynkami” przemocą wprowadzili skromną Dianę i pod groźbą rewaluacji zmusili do rozbierania się za 2.000 zł od 10 minut. „Pijana, prymitywna widownia” — i ona, artystka, mimosa, dusza wrażliwa i subtelna... Gdyby chociaż zdobyła się na szczerość: „tak, wiem, że to co robię, to zerowanie na najszybszych męskich instynktach, to świństwo, niemoralność, pasyzytowanie, sprzedajność i łatwizna życiowa — ale chcę mieć pieniądze i zdobywam je możliwie najszybciej i jak najwięcej, nie kocham pracy — gdyby tak właśnie powiedziała — nie byłoby żadnych zastrzeżeń; ostatecznie każdy jest panem swej woli i doł. godności i osoby. Ale wiedząc i stwierdzając, że się służy najniższym instynktom, że instynkty wyszydzać, opluwać, gardzić nimi jakoby się było ofiarą i męczennicą — to już szczyt tupetu i perwersji.

Nie zamierzam wylewać dziecka wraz z kąpielą; owszem, dobrze się stało, że redaktor Hańderk ukazał nam ten brudny margines życia; jedynym jedynym zdaniem końcowym, bardzo zresztą taktywnym, wypowiedział się aż nadto wyraźnie, co o tym wszystkim myśli. Należy jednak bezwzględnie opatrzyć publicznym komentarzem, publiczną dyskusją — ten reportaż, by ostrzec się mylnych klasyfikacji i propagowania zła. Zła — a nie stripteasu. Nic nie obchodzi mnie ona Diana, nie przeszkadza mi ani

striptease ani ona sama — chodzi mi o społeczne, etyczne i moralne, skutki jej wypowiedzi, która została opublikowana bez komentarzy. A w tym wypadku właśnie, jak w żadnym innym, nie tylko nie można powiedzieć „komentarze zbyteczne”, lecz trzeba krzyknąć głośno „KOMENTARZ BYŁ NIEZBĘDNY”.

Marla A. Hessel
Kraków

OD REDAKCJI: Mimo słusznosci wielu argumentów pani Hessel nadal uważamy, że Czytelnika nie należy traktować jak dziecko pozbawione rozum i odrędkajnymi czy odautor-skimi komentarzami ustalać obowiązujący kanon interpretacji faktów opisanych w jakimkolwiek z zamieszczanych u nas reportaży. W sposób przekazu faktów i w ich doborze autor — uważamy — powinien zająć (i zajmuje) własne stanowisko wobec poruszanych przez siebie problemów. Wszelka moralistka, kazania i komentarze są więc zbędne. Tytuł w ramach „odpowiedzi na krytykę”.

Pozostaje sprawa samej stripteaserki. Wiemy, że reportaż ten wzbudził ogromne zainteresowanie naszych Czytelników. Jak zawsze więc czekamy na ich opinie. List pani Hessel traktując jako pierwszy głos w dyskusji, która — być może — rozgorzeje, w naszych łamach.

KORESpondencja

„Pani chodziła do szkoły, to pani wie, że nauczyciele są różni, lepsi i gorsi — ciągnął filozoficznie dyrektor. — Już mam dość tej sprawy, chcę wreszcie normalnie pracować — mówił coraz gwałtowniej — nie mam czasu na jakieś tam anonimy. I w ogóle nie pozwolę na ten temat rozmawiać z uczniami...”

Głos dyrektora brzmiał tak groźnie, że zaskoczona zapomniałam wtedy spytać: dlaczego nie mogę rozmawiać w tej sprawie z uczniami? Cóż to za tajemnicę kryje przede mną dyrektor? A anonim leżał przede mną niewinnie: „My uczniowie IV Liceum Ogólnokształcącego dla Pracujących w Krakowie zwracamy się z usilną prośbą o pomoc i wzięcie nas w obronę... Do lekcji języka polskiego przygotowujemy się bardzo sumiennie, rzetelnie też uczestniczymy w zajęciach lekcyjnych... czytamy solidnie zadawane nam lektury — mimo to prawie zawsze spotykamy się z krzywdzącymi nas opiniami niedostatecznymi... Zakładając nawet, że nasze wiadomości i umiejętności z przedmiotu języka polskiego pozostawiają wiele do życzenia wypadła zapytać czyja to jest wina? — piszą zorientowani w obowiązkach nowoczesnego pedagoga uczniowie. — Przecież właśnie nauczyciel jest po to, by

sunek do uczniów, z których niekiedy są pupilami innych nauczycieli, budzi zrozumiałą niechęć tych ostatnich. I to jest właśnie najbardziej przykre, że w takiej atmosferze niezgody wychowuje się młodych ludzi. Co wyniosą z tej szkoły?”

„Niech pani tego nie pisze — zaprotestowała nagle. — Niech pani niczego o mnie nie pisze. Ktoś mógłby wyczytać w tym artykule życiową porażkę, klęskę, a tego bym bardzo nie chciała...”

Dyrektor

Kazimierz Kędziora zdecydował się podjąć rozmowę. Nie krył zadowolenia z faktu, iż mgr Alina Orłowska postarała się o przeniesienie do innej placówki. A przecież, jak sam twierdzi, jest ona dobrym pedagogiem: „oczytany, elokwentny, niezłe uczącym”. W czym więc tkwi przyczyna konfliktu?

W odpowiedzi dyrektor przedstawił mi zestaw ocen uczniów. Np. w klasie X a na 38 aż 23 ma z języka polskiego ocenę niedostateczną. „Jak ja mam uzasadniać taki stan rzeczy w Wydziale Oświaty?” — pyta. (Nie wspominał jednak o tym, że wielu uczniów opuściło w tym roku szkolnym 100 do 150 i więcej godzin, więc autorzy anonimu nie



Fot. Rosemarie Clausen (NRF). Zdjęcie z wystawy „Kobieta”.

sobie z przedmiotu i nauczyciela? — pyta mgr Orłowska. Czy można to tolerować i zachęcać go do dalszego cwanactwa, dając, na interwencję rodziców czy wychowawcy, dostateczną notę?

Na korytarzu spotkałam zatroskaną matkę 20-letniej uczennicy, która jednym tchem wyrzuciła swoje przeżycia poczynając od urodzenia dziewczynki aż do obecnej chwili. Córka ciężko chorowała, była kilkakrotnie operowana, wiele miesięcy spędziła w szpitalu. Iż wytrzeź, trosk, zmartwień i płacizny na korepetycje było potrzeba, by znalazła się w X klasie. I teraz profesorka Orłowska twierdzi, że jej wiadomości z języka polskiego są niedostateczne. Okrucieństwo — mówiła ze łzami kobieta — a przecież to chore dziecko tak bardzo chciałoby mieć dyplom. I rzadziej także tego pragnę. O faktycznych wiadomościach dziewczyny matka wie jednak niewiele.

Surowa czy zbyt wymagająca

Kim są uczniowie tego Liceum? Ogromna ich większość to ludzie młodzi, tak młodzi, że mogliby jeszcze chodzić do szkoły stacjonarnej i nosić tarczę na rękawie. Mogliby, a nawet niekiedy z nich powinni. Wyłączam oczywiście tych, którzy istotnie musieli podjąć pracę zawodową i mają poważne obowiązki rodzinne. Ich należy podziwiać za wytrwałość, wyrzeczenia, jakich wymaga kształcenie w „wieczorówce”. Lecz duży procent uczniów tej szkoły nigdzie nie pracuje lub ciałe „poszukuje” pracy, którą przecież u nas nie tak trudno znaleźć. Przyszli z różnych szkół stacjonarnych (niektórzy byli już w niej), z przekonaniem, że tu łatwiej zdobyć maturę. W marszu po dyplom stanęła im na przeszkodzie mgr Orłowska.

Czy można żądać od uczniów opinii o ich nauczycielu? Czy wypada o nią pytać? Te wątpliwości dręczyły mnie gdy usiadłam na profesorskim stołku w klasie X a. Lecz przecież to oni są autorami anonimu, a konflikt jaki tu istnieje od dawna, nie jest dla nich tajemnicą.

— Czy sądzicie, że profesorka Orłowska jest złą nauczycielką? — spytałam.

— Nie — rzekła jedna z uczennic — uczę dobrze.

Weschnienia, chrząknięcia i chichoty spełszy dziewczynę. Próbowaliśmy się bronić. Tymczasem, że ma przecież prawo do własnego sądu. Uczniowie posiadają ją, że chodzi na pliki do polonistki, a to przecież nie prawda — żaliła się blińska placu i wyczuwając wokół wrogosć u mnie szukała potwierdzenia. Inni bowiem mieli w zanadrzu wiele zarzutów pod adresem profesorki.

— Nigdy jeszcze nie zgadziła się z naszym opracowaniem lektury. Pyta o szczegóły, a odpowiadać trzeba dokładnie tak jak sobie życzy. Nie uznaje indywidualnych interpretacji.

— Na każdym kroku okazuje nam niechęć, wręcz pogardę, ciągle dowodzi, że niczego nie umiemy.

— Nastrój na lekcjach języka polskiego jest przygnębiający. Profesorka jest niedostępna, bardzo surowa, nie przyjmuje żadnych usprawiedliwień...

Wychodząc spotkałam na korytarzu wychowawczynię tej klasy profesorkę Józefę Chybińską. „No i co, biedna jest ta młodzież?” — zagaśnie i rozpiakała się.

My chcemy spokojnie się uczyć

Jakże inaczej brzmiały wypowiedzi ucz-

nów klasy X, której wychowawczynią jest właśnie profesorka Orłowska.

— Jest to wymagająca nauczycielka, lecz za to my umiemy język polski — mówili jej wychowankowie.

— Jeśli ktoś chce, może ją zrozumieć i sprostać tym wymaganiom.

— Ona nigdy źle nie mówi o innych nauczycielach. Nie chcemy mieć nic wspólnego z tym konfliktem. Jesteśmy tu po to, by się uczyć — twierdzili zgodnie.

Dyskretnie rozmowy

Potem odebrałam kilka telefonów i — rzecz charakterystyczna — wszyscy prosili o dyskrekcję. „Każdy pragnie skończyć szkołę” — argumentowali.

— „Do naszego Liceum przychodzi wielu uczniów z innych szkół stacjonarnych po to, by łatwiej uzyskać dyplom. Nie pracują i całymi miesiącami rzekomo starają się o pracę. Opuścują lekcje, nie czytają lektur, dla nich Orłowska bywa bardzo surowa, bezkompromisowa”. „Jest niewygodna, bo tym, którzy nie mają odpowiednich wiadomości, mimo interwencji nauczycieli czy rodziców nie chce postawić dostatecznej noty” — tłumaczono mi.

Tylko jedna z dziewcząt Bronisława Pepek zwracając się do mnie nie ukrywała swojego nazwiska. Ona już nie jest uczennicą tej szkoły, ukończyła ją niedawno i z bardzo dobrymi wynikami bez egzaminu wstępnego została studentką polonistyki WSP. Przysłała, by brońić swojej profesorki, która tak wiele jej pomogła w opanowaniu wiadomości z języka polskiego i w trudnym życiowym starcie. „To świetny pedagog — twierdzi Bronisława — i nie brak jej serca. Wiele pomogła mnie i innym. Jest szczerą, prostolinijną, chociaż surowa. Znasz ją wobec tych, którzy lekceważą sobie naukę, a takich jest niestety w naszej szkole wielu”.

Bohaterowie są zmęczeni

Późno już było, gdy skończyły się lekcje. Siedząc w pokoju nauczycielskim z dyrektorem i profesorką Orłowską, zmęczeni długą dyskusją nie potrafiliśmy wspólnie dojść do konkretnych wniosków, do rozwiązania zadawnionego konfliktu, który tyle szkody przynosił tej szkole. Każdy z nich pozostał przy swoim zdaniu.

— myślę, obserwując Orłowską i dyrektora. On patrzy ciągle na sznur niedostatecznych stopni. Aż tyłu uczniów ma ponieść życiową porażkę? Jak wytłumaczyć ten pogrom z języka polskiego? Tak nie można, po prostu dobrać nauczyciela nie może stawiać takiej ilości niedostatecznych ocen. To przecież nie mobilizuje do nauki. I dyrektor wie, że nie tylko inni nauczyciele, lecz także jego zwierzchnicy z Wydziału Oświaty DRN i Kuratorium podzielają to zdanie. Wszyscy znają doskonale „sprawę” Orłowskiej, są zmęczeni skargami, interwencjami.

„Istotnie trudno wyznaczyć wyraźną granicę między ostrą klasyfikacją a przesadną, nadmierną surowością, między wyrozumiałością a pobłażaniem, między wysokimi wymaganiami, a okrutną bezwzględnością — wyjaśniano mi w Kuratorium. Toteż żaden wizytator nie może udowodnić Orłowskiej błędnego postępowania. Rozumiem. Żałuję tylko, że chyba żaden zły, zaniebujący się w pracy pedagog nie wzbudził takiego zainteresowania i krytyki, jak właśnie ona.

K. ROŻNOWSKA

ANONIM

przekazać z korzyścią młodzieży wykładany przedmiot... Do kogo więc można w naszym przypadku mieć pretensje?...”

Oto jest pytanie: Do kogo można mieć pretensje za sytuację istniejącą w tej szkole?

„To ja jestem bohaterką anonimu”

— rzekła na przywitanie mgr Alina Orłowska, siłając się na uśmiech. Znała już jego treść, bo trafił w odpisie do wielu instytucji. „Jakie są do mnie zastrzeżenia? Istotnie jestem wymagająca, dlatego że chcę nauczyć przedmiotu. A wiem z doświadczenia ile można wymagać od młodzieży”. — Szybko, nerwowo, wyrzucała z siebie słowa, a słuchając trudno było wątpić w ich szczerść. Jej sylwetka i rysy twarzy znamionowały zdecydowanie i siłę woli.

„Nie wierzę, żeby ten anonim napisała sama młodzież. Po prostu nie wierzę — przekonywała siebie i mnie. — Po 23 latach pracy w tym zawodzie taka nagroda — do dała już ciszej. — Mój ojciec też był nauczycielem — wróciła nagle do wspomnień. — Pamiętam, złożyłam papiery na medycynę, a potem szybko je wycofałam. Jestem nauczycielką z wyboru, a nie z przypadku, chcę dobrze uczyć. Tymczasem wokół tyle nienawiści. Mój nieprzejednany i wymagający sto-

są zbyt rzetelni pisząc, iż pilnie uczestniczą w zajęciach lekcyjnych.)

Z mgr Aliną Orłowską rozmawiał wielokrotnie. Niestety bez rezultatu. Twierdzi, że jest uparta, nieprzejednana, nie chce się przyznać do popełnionych błędów. Podobnie poprzednicy dyrektora mieli także z tą nauczycielką wiele kłopotu. Często wchodziła w konflikt z uczniami, rodzicami i nauczycielami. Przyczyna tych konfliktów były zazwyczaj niedostateczne noty. Sympała nimi dość hojnie, a przecież nie wszyscy uczniowie przyjmowali je samokrytycznie i pokornie. Buntowali się, często szukali pomocy u rodziców. Tak, chociaż jest to szkoła dla pracujących, interwencje tatusia nie należą tu do rzadkości. A Orłowska była na nie głucha, ba, nie raczyła nawet zyczliwiej potraktować prośb wychowawców czy nauczycieli: „pani koleżanko, a może jednak przepuścimy Kowalskiego”. A więc — czy można kochać Orłowską?

Potem dyrektor opowiadał o tym jak wiele jest w tej szkole młodych ludzi skrzywdzonych przez los, uwikłanych w różne życiowe problemy: długotrwała choroba, kłopoty rodzinne, sprawy zawodowe. Nauczyciel musi starać się im pomóc. Nie może jedynie ograniczyć się do wymagań.

Lecz jak ocenić ucznia, który nie przychodzi na lekcję, nie czyta lektur, wręcz drwi

ku wspomina jak czarny sen, z którego nie można się otrząsnąć.

Słucham wspomnień ówczesnego fernala, dziś gospodarza na kilku hektarach ziemi i robotnika „Gumy” i moja świadomość też nie chce przyjąć tamtego wydarzenia, za prawdziwe. A jednak...

Zabrali go ze dwóro, zaprowadzili pod dom Łaskowskiego i tam wśród wielu innych prowadzili na rozstrzelanie. Był pewny tego, choć innych czepiała się nadzieja: po co uciekać przecież mogą zastrzelić, a tak, może obudzą się w nich ludzkie uczucia, przecież byli niewinni.

Mazur padł na ziemię o sekundy wyprzedzając strzały, które posypały się z tyłu, zradziecko, od razu salwami. Potem na niego padali rozstrzelani, tłoczyli go i dusili. Ich krew zalewała go. Myślał tylko, by przetrwać, czekać chwili kiedy kaci odejdą. Oni jednak nie odeszli, przeżywali swój sukces, napawali się piekielną

tej żywej pochodni. Kiedy dobiegli do Chłiny, był prawie nagi. Jedną z kul trafiła go w pachwinę, drugą w nogę, a trzecią w rękę. Tam zemdlnego znalazła stara babcia i u starego przyjaciela Serwy, obmyła wodą. Kiedy przyszedł do siebie musiał przemieścić się w pokrzywy, bo wioska była pełna Niemców. Potem Serwa polami, drabiniastym wozem, pod siomą odwoził go do wczelcy do lekarza zawiadomili brata, który zabral go do domu w Charsznicy.

Nadaremnie szukała żona jego ciała wśród zwłoków na miejscu tragedii. Odnalazła tylko trupą swojego brata.

Marek Świerczek uratował się z tamtego piekła jako drugi. Trzecim był Kazimierz Głanowski, który po pierwszej serii, ranny wczółgał się w ziemniaki, wbił w ziemię i udało się mu przeżyć. Tamtem dzień odbił się tragicznie na nim, na jego psychice.

MARIAN OLEKSY

Losie ciężki, losie łaskawy...

przełam mna w meskich spodniach w ziemniaczanym polu i gołą reką wysiewa „Azotoks”. Jak gdyby usprawiedliwia się, że już nie może unieść pojemnika do rozpylania. Ma już przecież 67 lat. Wówczas była w pełni życia, ale to było 29 lat temu. Wychowała dzieci i żyje do dziś tamtym dniem, kiedy wszystko wyminęło jej z rąk.

Potem, ta stała walka o przetrwanie.

*

Stanisława Mazura spotkałam przy okazji zwiedzania Wolbromskich Zakładów Gumowych. Stał przy olbrzymiej ciężkiej maszynie z kadzią pełną czarnej masy, z której wyrabia się gumowe przedmioty. Tamten dzień 7 sierpnia 1944 ro-

tragedią trzydziestu dziewięciu zabitych. Jeszcze mało im było ich śmierci, podpalili stodoły, chcieli by ogień strawił ciała zabitych; chcieli zabawić się w piekło i to im się udało.

Gdy ten stos trupów zasypany został palącą się siomą i belkami, Mazur zaczął się dusić. Pozostała tylko ucieczka, przez mur ognia i Niemców. Nadział się na jednego z nich, jak strzelał do Janka Greli. Cały w ogniu rzucił się w pola. Poczuł jak w nogach robi się mu słabo. Wiedział, iż go postrzelili. Uciekał dalej. Puszczono psy za nim, ale one nie rzuciły się na niego. Był płonącą pochodnią, zrzucił z siebie w biegu części swojego odzienia. Psy odstąpiły, nawet one będące na piekielnej służbie, przeraziły się

powstały jako jednostki wycieczkowe o wysokim komfortie. Zapewnia się go przede wszystkim przez zmniejszenie niemal o połowę miejsc pasażerskich w porównaniu z dotychczasowymi statkami drogowymi, dzięki czemu u

większa się także pomieszczenia ogólne, a przede wszystkim — pokładowe. Jeśli o tej porze przebywa ktoś w Gdyni i odniedza na brzezie pasażerskie w porcie, może również zobaczyć statki wycieczkowe różnych bander z turystami na pokładzie. Zagłaniczne biura podróży w programie rejsów coraz częściej uwzględniają także nasze porty. W Gdyni gościły już jednostki z krajów skandynawskich, Hiszpanii, NRF. Nie tylko zresztą z krajów kapitałistycznych. Odwiedzają nas także statki wycieczkowe ze Związku Radzieckiego, NRD, Jugosławii, Rumunii i Bułgarii.

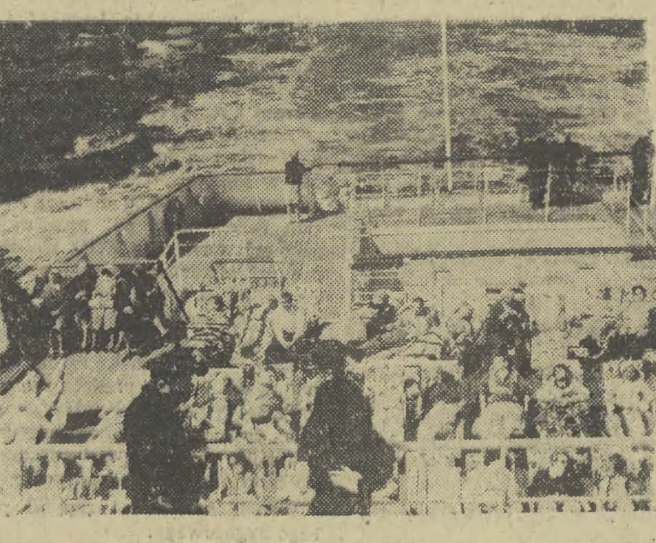
Nie może natomiast postawić się nimi Polska. Jesteśmy bowiem jednym z wietelnych krajów morskich, który nie uprawia turystyki pod banderą. Moglibyśmy zacząć od wykorzystania do tego celu naszego kursowania z polskimi turystami do krajów skandynawskich. Statek ten jednak od lat nosi

Tylko ich trzech uszło z życiem. Umknęli spod ściany śmierci, i jak gdyby trwali na posterunku by dać świadectwo tamtemu wydarzeniu. Kto zechce ich jeszcze wysłuchać?

Świerczek był wówczas soltysem, chodził z zegarkiem w kieszeni. Kiedy Niemcy wyselekcjonowali z tej dwustuosobowej grupy kobiet i dzieci samych mężczyzn, wtedy jeden z nich zapisał: kto ma zegarek? Świerczek nie oddał zegarka, ale wiedział, że to już ich koniec; zaczął myśleć o ucieczce. Jeszcze trwały targi o Andrzeja Pniewskiego, który był rosty i Niemcy wybrali go na rozstrzelanie, choć miał tylko czternaście lat. Wówczas czterdziestolletni Marian Jabłoński, sam poprosił, by jego wzięli w zamian

TADEUSZ STEC

WCZASY NA MORZU



piętno nieekonomicznego, deficytowego i źle sprawnego się na morzu. Został wreszcie wydzierżawiony Szwedom. Pod nazwą „Karolinen”, wozł po Bałtyku szwedzkie wycieczki i — o dziwo — przynosiły zyski.

Jedno „Mazowsze” nie rozwiązywałoby oczywiście problemu wczasów na morzu, ale daje ono niestety świadectwo naszej nieporadności w tych sprawach i wręcz — mdoleni. Trudno bowiem zadowolić się przewidywaniami do roku 1980 zakupem przez Polskę Linie Oceaniczne — jednego statku wycieczkowego. Warto tu odwołać się do doświadczeń NRD, która posiada bogaty dorobek organizacyjny w dziedzinie rejsów wycieczkowych, finansowanych przez zakłady pracy i instytucje społeczne. Mało tego, w NRD już wielokrotnie wysyłano chorych na płucę, z dolegliwościami skórny i z innymi schorzeniami z wodami — w okolicy Wysp Kanaryjskich, a więc w strefę podzwrotnikowego słońca i oceanicznego powietrza. Kuracja ta przynosiła znakomite rezultaty.

Cokolwiek by powiedzied o powodzeniu wczasów na morzu, zaderkuje o tym podstawowy warunek — mianowicie koszty rejsu. Nie mogą one przekroczyć możliwości finansowych średnio lub lepiej zarabiających. I jeszcze jedno. Wczasy pracownicze jak wia-

STANISŁAW MAZUR

domo dofinansowywane są ze środków społecznych. Ta sama zasada powinna dotyczyć również — wczasów na morzu.

Koszt wycieczki, z uwzględnieniem amortyzacji statku, zasada powinna dotyczyć mykałby się w granicach 5-6 tys. zł.

Wycieczkowie z powodzeniem mogą być budowane przez nasze stocznie, ale na początek, dla szybszego uruchomienia żeglugi turystycznej, należałoby zakupić gotowe jednostki od obcych armatorów. W sumie powinniśmy dysponować 3-4 statkami wycieczkowymi. Należy liczyć się również z tym, że z rejsów wycieczkowych chcieliby korzystać także pasażerowie z Węgier i Czechosłowacji, co stanowi dodatkowy argument przemawiający za stworzeniem floty wycieczkowej pod białoczerwoną banderą.

*

Z inicjatywą wczasów pod banderą wystąpił miesięcznik „Morze”. Poparły ją inne dzienniki i tygodniki w kraju, popiera ją również „Gazeta”. Jesteśmy morskim krajem, ale wciąż jeszcze — bez morskiej świadomości. Kto wie czy właśnie turystyka morska, poza swoimi walorami rekreacyjnymi, nie stanie się ważną formą utrwalania owej morskiej mentalności. A może w tej sprawie zechcą wypowiedzieć się nasi Czytelnicy. Prosimy o listy.

Ze skraju liścia

Żyje z naturą
Jak ten wiater przelotny
Na liści wiare

JERZY HARASYMOVICZ

Żyje z naturą — co to znaczy? Może po prostu: współżycie z naturą, czyli z przyrodą; życie życiem natury, życie jak ona żyje. Ale mogłoby też być inaczej trochę. Istnieje takie przysłowie — o lekkomyślnym, co to „z Bogiem żyje” i nie frasuje się niczym. A więc może „żyć z naturą” w sensie podobnym do „życia z Bogiem”? W takim wypadku pojęcie „natury” zajęłoby tutaj dotychczasowe miejsce pojęcia „Boga”. Tym z kolei też nie będziemy zdziwieni. Od stuleci panteści oswoili ludzkość z tym, że tak akurat myślą. Zresztą i poza panteizmem pojęcia „Boga” i „natury” wchodziły z sobą w ścisły związek. Konrad woła w Mickiewiczowskich „Dziadach”: „Ty Boże, ty natura! daj-

JEDNO ZDANIE

cie postuchanie”. A zatem? Zatem po panteistycznym zanarichowaniu, lekkomyślny wietrznik przemawia tu do nas.

Właśnie: wietrznik. Przecież ów on, podmiot Harasymowiczowego wiersza-zdania, żyje z naturą jak wiater przelotny. Tu się zaczyna rozjaśniać jeszcze jedno możliwe znaczenie: żyć z kimś — to tyle co utrzymywać z tym kimś intymny związek, do tego raczej nieformalny, przeto uchodzący na ogół za niedostępną. Czyli to, że wiater jest przelotny, wynika nie tylko z istoty wiatru, lecz z istoty sugerowanego przez wiersz związku natury z wiatrem. Zaiste: żyją na wiare. Proszę jeszcze popatrzyć na gramatyczny rodzaj rzeczowników. Natura — to ona, wiater — to on; i te niesłubna, niewierna „przelotność” znów przypisuje jej i emul Tradycja już widać taka. Ale tę tradycję nieźle wspiera umysłowe podobieństwo głoskowe wyrazów: WIATR — na WIARę (a szerzej patrząc, to nawet: NATURą — TEN WIATR

przełotny — NA WIARę). To jakby plotkarskim palcem pokazywane. I ktoś nie uwierzy głoskom, kiedy je poeta chytrze poustawiał?

Lecz jednak „na liści wiare”, nie po prostu na wiare. I co to za wiara liści jakaś? Ba, toć to prawdziwa religia świętego Harasyma. Życiem liści żyje przyroda; więc czciciele natury przyznają liściom rangę niemałą. W cały „Zielnik” poetycki umiał Harasymowicz liście poukładać, zaś skoro tym samym jest liść co list, arkusz, kartka — to i na liściach mogą powstawać wiersze, ze skraju liścia można odczytywać króciutkie notatki liryczne. Na przykład te nasza, albo inna, nazwaną „Kalina żartobliwa”:

Poznaję
rośnie serce moje
z wierszem szerokim...

Kalina jest żartobliwa, bo stroi się tu w żarty z Teofila Lenartowicza. To u niego przecież „Rosła kalina z liściem szerokim”. A Harasymowiczowi liście przemieniało

się w wiersz. Jeśli zaś wyobrażamy sobie liście na wietrze (przelotnym), to krok stał, by sobie wyobrazić też wiersze na wietrze: zwiewne, ulotne, a przecież ważne. Warto im dać wiare. Liści wiare.

Czy jednak ten wiersz jednozdaniowy jest na pewno wierszem? Jest, bo i budowany przecież jak wiersz. Pierwszy wers — pięć zgłosek; drugi — sześć, razem 5+6 daje 11, całkiem jak we wzorowym polskim wierszowaniu jeszcze od średniowiecza. Trzeci wers — znowu pięć, jakby ktoś doprowadził następny 11-zgłoskowiec do połowy, do średniówki i urwał. Nie inaczej, właśnie półtorawersem, mówi u Słowackiego Balladyna:

Wiem, że znasz ziółek lekarskie
przymioty,
Że leczysz rany.

A w końcu każde wydanie wierszy Mickiewicza też zawiera taki półtorawersowy mikrometr (i też na liściasty temat), stanowiący przecież myślową całość: „Uciec z duszą na liściek”. Co więc wolno Mickiewiczowi...

ZBIGNIEW SIATKOWSKI

Zapomniane tragedie

„Najwięcej wpada w oczy przybytemu do Zakopanego — Giewont, olbrzymia-turnia, przepaścista ścianą zwrócona ku wschodowi, po szerokości grzebieniu. W fantastycznych kształtach przedstawia się Giewont każdemu imponując, jakby ojciec Zakopanego, ulubieniec ludu u stóp jego zamieszkałego, kochanek gości bawiących przez lato w jego dziedzinie. On wyrocznią w meteorologii, on kompasem dla góralt w oznaczeniu południa, znając go uszyścić, pamiętając jego imię, rysują, malując go, opiewają Giewont ciągle na ustach. Każdy się wybiera na jego czub, skoro tylko stanie w Zakopanem” — tak pisze W. Elias Radziłowski w swoim przewodniku po Tatrach. Rzeczywiście — literatura dotycząca tego najpopularniejszego polskiego szczytu jest imponująca tak samo zresztą jak i ikonografia. A oto dane z przewodnika J. Nyki: „Główny wierzchołek (1894 m — m) wysuwa na wsch. oddzielną Szczerbą (1823 m) grań zw. Długim Giewontem (1867 m), od zach. piętury się Mały Giewont (1728 m). Ku pn. opadają ściany 500—600 m wysokości. Cały masyw ma 2,7 km długości i zbudowany jest z wapieni (...). W r. 1901 wystawiono na wierzchołku krzyż żelazny 15 m wysokości”. Z przełęczy między Małym Giewontem a głównym wierzchołkiem opada na północ ku Dolinie Strążyskiej łąka Karkora, ze Szczerby zaś zleb zwany potocznie Zlebem Szczerby. Były to przez dziesiątki lat główne miejsca wypadków, szczególnie Zleb Karkora, którym ok. 1904 r. Michał Karkor, zakopiański lekarz i taternik poprowadził szlak turystyczny.

Pierwszy znany tragiczny wypadek wydarzył się w 1886 r. i od tego czasu na Giewontzie zgineło 45 turystów, a ratownicy przeprowadzili (od 1910 r.) 126 zorganizowanych wypraw, kilkadziesiąt osób wybawiając z opresji. O niektórych była już mowa w pierwszych skicach niniejszego cyklu. Imponująca seria wypraw rozpoczęła się 17 sierpnia 1910 r., kiedy to Pogotowie zniszczone 17-letniego Tadeusza Mayera ze Strzyska, który opadł z grani Długiego Giewontu doznając ciężkich obrażeń. W rok później — 14 lipca 1911 r. — Leon Romański, lat 18, pochodzący z Rzeszowa wybrał się wraz z kolegami nocą na Giewont, aby podziwiać wschód słońca. Wczesnym ran-

kiem zaczął schodzić na północ i utknął, kole-dzy zawiezł pomocy i wnet ich przyjaciel „Cały i zdrowy sprawozdany został z przepaścistych upiórów północnej ściany Giewontu do Zakopanego” — podsumował w „Księdze wypraw” M. Zaruski. Znaczenie poważniej wyglądał przypadek Teodory Trybowskiej, „urzędniczek ministerium” z Warszawy, która spadła z głównego progu w Zleb Karkora groźnie się raniąc. Troje towarzyszy nie mogąc nie pomóc poszkodowanej pozostało w Zlebie wołając pomocy. Warto po-dać horarium wyprawy ratunkowej kierowanej przez świetnego wspinacza, narciarza i ratownika Henryka Bednarskiego: alarm —

Giewont

godz. 20.00, wyruszenie ekipy ratowniczej — godz. 21.15, przybycie pod ścianę — godz. 22.30, „o ścieżce d. 26. VII (1919 r. — m) przeniesiono na noszach ciężko raną Trybowską do Zakładu dr. Nowotnego” — czytamy w „Księdze wypraw”.

Dnia 8 września 1922 r. ratownicy zostali powiadomieni, że na samym szczycie Giewontu znajduje się ciężko ranny, gdy przybyli na miejsce, zostali już zimne zwłoki: Ryszard H., 23-letni urzędnik bankowy z Warszawy, „odebrał sobie życie strzelając w skroń z rewolweru systemu „nagan” o dużym kalibrze” — stwierdza J. Oppenheim. Niemal identycznie odebrał sobie życie dnia 26 lipca 1934 r. Stefan N., 43 lata liczący technik dentysta ze Szczucina — tak samo jak w poprzednim wypadku J. Oppenheim zanotował: „Tuż obok leżał rewolwer „nagan” dużych wymiarów”.

Dotychczas mówiliśmy o wypadkach będących konsekwencją złądek czy też odpadnięcia od skały, ale historia ratownicza zna inne jeszcze przyczyny tragedii, jedną z groźniejszych są wyładowania atmosferyczne. „Dn. 15. VIII. 1937 r. godz. 14 m. 15 telefonicznie

Katatówek zawiadomiono sekretariat TOPR o wypadku rażenia piorunem kilku osób na szczycie Giewontu”. Niezłocznie zorganizowano wyprawę, której łakoniczny lecz wstrząsający opis podaje za „Księgą wypraw”. „Po dojeździe na szczyt Giewontu członkom ekspedycji przedstawili się następujący widoki: w oddaleniu ok. 10 m od krzyża leżały doszczętnie zgniecione zwłoki dr. Leopolda Schlönvogta i Jana Mroza, stykając się plecami. Po przeciwległej stronie krzyża leżały już zimne zwłoki sprzedawcy ciastek Kazimierza Bani. Siłą powstałego prądu powietrza przy wyładowaniu elektryczności zrucono został dr. Erwin Schlönvogt ok. 50 m ku południowi (Dol. Kondratowej). W pierwszym rzędzie Pogotowie zajęło się ciężko rannym dr. Erwinem Schlönvogtem, którego zniszczonego do schroniska Polaka na Kondratowej (...). Oprócz trzech zabitych i jednej osoby ciężko rannej porażonych przez piorun pozostało 13 osób, które po założeniu pierwszego opatrunku o własnych siłach wróciły do Zakopanego”. W dwa tygodnie później zmarł w szpitalu E. Schlönvogt.

Nie był to jedyny wypadek porażenia piorunem, następne miały miejsce na samym szczycie lub bezpośrednio pod wierzchołkiem Giewontu 13 sierpnia 1950, 7 czerwca 1961, 21 lipca 1964, 24 lipca 1966 — jeden turysta zabity i jeden ranny oraz 17 lipca 1968 r. Przy okazji wypraw ratunkowych na Giewont członkowie ekip bili swego rodzaju rekordy i tak np. do porażonej piorunem turystyki (17. VII. 63) doszli z Hali Kondratowej — do schroniska — na sam szczyt Giewontu w 20 minut, a po meldunku, że jeden z turystów zasiał na serce (10. VIII. 71) dotarli z tejże Hali Kondratowej na Kondracką Przełęcz w 14 minut. Dziewczynę uratowano, nie udało się to jednak w przypadku wspomnianego turysty — zmarł na zawał zanim ratownicy dojeżdżali do niego dookoła. Również niektóre nowe trasy wspinaczkowe przebili ratownicy na północnej ścianie Giewontu i Długiego Giewontu w trakcie wielokrotnych poszukiwań zaginionych turystów. O jednej z takich tajemniczych historii związanej z interesującym nas aktualnie szczytem będzie mowa w następnym odcinku.

MICHAŁ JAGIEŁŁO

KORESPONDENCJA

„Rekord”

Z satysfakcją czytam stale rozwijający się magazyn „Od środy do środy”. Artykuły coraz ciekawsze i nie pozbawione autentyczności. Ciekaw był „Rekord” M. Gila, trafiający w sedno atmosfery towarzyszącej różnym imprezom pokazywanym, bo tak nazywam te próby. Ale zrosi się, aby jeszcze mocniej pletnować zło i ukazywać imiennie winnych zaniebadań. Oficjalnych przedstawicieli funkcyjnych, działaczy organizacji partyjnych, związków zawodowych i ZMS chciałoby się na co dzień widzieć wśród tych, którzy ich wybierają i których interesów oni winni bronić.

Dobrze, że „Gazeta Krakowska”

ma do tych spraw właściwy stosunek.

Łączę wyrazy szacunku,
Marian K. Wielkie Piecie HIL.
PS. Proszę p. Gila, aby zechciał pisać mocniej o naszych sprawach.

MK

Jaki format?

Zachęcona pragnę podzielić się paroma uwagami na temat Waszego magazynu „Od środy do środy”. I nie tylko.

Od pewnego czasu istotnie „Gazeta” wiele zmieniła się na korzyść. Zwłaszcza wydanie środowe i sobotnie szczególnie zachęca do kupna i do czytania(!).

Format? Ja osobiście nie lubię wielkiego formatu, bo czyta się taką „plachtę” niewygodnie i z wiel-

kim zadowoleniem przytębiałbym fakt zmiany formatu „Gazety” do wymiarów środowego dodatku. Obawiam się jednak, że pewnie z jakichś tam względów okaże się to niemożliwe. A szkoda. Z prowadzonych rozmów w gronie najbliższych współpracowników w moim zakładzie pracy wiem, że większość jest za małym formatem, nie jestem więc w tej opinii odosobniona. Taką zmniejszoną gazetę łatwiej przeczytać w tramwaju, nie przeszkadzając nikomu.

Sądzę, że popularność „Gazety” nie na tym nie ucierpi. Wprost przeciwnie. Przybędzie jej czytelników zwłaszcza jeśli będzie nadal tak ciekawie redagowana.

Łączę pozdrowienia
Helena Kucawska Kraków

OD REDAKCJI:

Telefony i listy, jakie otrzymaliśmy w związku z eksperymencem wykazały, że forma ta ma tylko walor lenników „co przeciwników.

Przeciwnicy małego formatu wskazywali, że w jego rezultacie magazyn traci nieco „provincializm”, że staje się „gazetką”, jest mniej przejrzysty, artykuły są ściśnięte, nie zachęcające do czytania. Dlatego zdecydowaliśmy się pozostać przy dotychczasowej formule.

Przy okazji nasi czytelnicy oceniali treść magazynu, wyrażając się o niej ciepło — za co dziękujemy.

Niebezpieczna przesyłka

Carl zadreptał się myślą, czy walizka, którą trzymał w prawej ręce, może wzbudzić czyjeś podejrzenia. Wreczyli mu ją wraz z odpowiednimi instrukcjami, na chwilę przed przywołaniem takśówki, która miała go zawieźć na lotnisko. Carl mógłby przysiąc, że kierowca czegoś się domyśla. Kiedy jechali autostradą powtarzał sobie, że jego obawy są śmieszne i niczym nie uzasadnione. Skąd mogłoby wiedzieć, że w walizce znajduje się 1/2 kg heroiny? Beztrosko poglądziwanie kierowcy upewniło go w tym przekonaniu. Kiedy dojechali już na lotnisko, Carl w porwywie jakiegoś niezrozumiałej wdzięczności chciał mu dać duży napiwek, ale nagłe przeklął się. Przypomniał sobie, że podstawową regułą w jego fachu było nie rzucać się w oczy. Wobec tego dał mu tylko 25 centów i wyprostowany, swobodnie wszedł do środka, podszedł do okienka, zapytał o godzinę odlotu, a następnie oddał walizkę na bagaż. To kosztowało go najwięcej nerwów, ale wiedział, że tak właśnie należy postąpić. Gdyby zatrzymał ją przy sobie na pewno zwróciłoby to całą uwagę. Patrzył więc, jak walizka u myka na taśmie ruchomej, a kiedy znikła poczuł ulgę, jakby go to uwalniało od wszelkiej odpowiedzialności. Udał się następnie do poczekalni i zapalił papierosa. To, co robił dotychczas dla organizacji ograniczało się wyłącznie do zbierania pieniędzy na jej rzecz u różnych bookmacherów. Nie rozumiał więc dlaczego jemu właśnie zlecono to niebezpieczne zadanie. A może dlatego, że nie było ono wcale tak niebezpieczne, jak sobie wyobrażał? W przekonaniu szefów było to na pewno zupełnie proste. Po przybyciu do Chicago odda walizkę ludziom, którzy mieli go oczekiwać na lotnisku, a następnie wróci najbliższym samolotem. Była to dziecinna robota, chyba, że go złapią... A może to zadanie oznaczało początek jakiegoś awansu, zapowiedź jakiegoś bardziej odpowie-

dzialnej misji? Od 10 lat był z nimi związany, zawsze lojalny wobec szefów i sumienny w robocie. A jednak powierzano mu tylko najpodrzedniejsze funkcje, przez całe lata zajmował się głupia i beznadziejną robotą, ale teraz wreszcie będzie miał okazję wykazać swą prawdziwą wartość. Kiedy tak dumal nad tym wszystkim, ku jego przerażeniu na lotnisko wkroczył tużin policjantów. Omal nie stracił głowy i nie rzucił się do ucieczki. Strach go jednak sparaliżował, stał więc nieruchomo, ale nie przestawał myśleć. Pchnął drzwi i znalazł się w sąsiedniej sali, chmara policjantów otaczała jakichś dwu starszych panów o dystygowanym wyglądzie.

— Co się dzieje? — zapytał Carl przechodzącej stewardessy.

— Premier — odpowiedziała zwięźle. Carl odetchnął z ulgą. Przypomniał sobie poranne gazety. Istotnie jakiś dygnitarz obcego państwa miał odlecieć tym samolotem, co on samolotem. Pogratulował sobie w duchu, że nie uległ panice. Będzie musiał odpowiedzieć o tym swoim szefom i dać im do zrozumienia, ile hartu ducha wykazał w sytuacji, która wyglądała groźnie. Nabrawszy pewnością siebie wniósł się w grupę oczekujących premiera i pomyślał z uśmiechem, że będzie o czym opowiadać po powrocie, jak to podróżował pod eskortą policji.

Kiedy już wszyscy pasażerowie wsiadli do samolotu i załadowano ich bagaże, Carl spojrzął na zegarek i stwierdził, że godzina odlotu już minęła. Ogarnął go zno-

wu niepokój i przeklinał w duchu premiera, podejrzejawca, że spóźnienie było związane z jego osobą. Spojrzał w okienko i zauważył dwu ludzi biegnących do samolotu. Był już teraz pewny, że po niego. To były właśnie ich metody, piekielne metody policji. Pozwolił mu wierzyc do ostatniej chwili, że jest bezpieczny, a capną go w samolocie. Ale raz jeszcze opanował się i w pozornym spokoju oczekiwał, co nastąpi dalej. Dwaj ludzie zeszli z stewardessą, która za chwilę oznajmiła przez megafon:

Proszę państwa, przykro mi, ale muszę państwa zawiadomić, że lot nasz nastąpi z pewnym opóźnieniem. Ktoś zawiadomił nas (była zakłopotana, ale pokryła to zawodowym uśmiechem), że na naszym pokładzie znajduje się bomba zegarowa. Prosimy więc o natychmiastowe opuszczenie samolotu i przejście na dworzec. Samolot i bagaże zostaną szczegółowo przeszkukane.

Carl o mało się nie roześmiał. A więc o to chodziło!

— To na pewno fałszywy alarm, jak tyle razy. Ktoś musiał przeczytać o odlocie premiera i zrobił taki kawał.

— Być może — potwierdził skwapliwie Carl.

— Uważam za idiotyczne publikowanie tego rodzaju wiadomości. To tylko prowokacja takich żartowisków — dodał po chwili i skamieniał. — Drzwiczki bagażowni były otwarte i kilku ludzi wyniosło ostrożnie pozostałe tam walizki.

— Co oni robią? — zapytał starając się ukryć strach.

— To jasne. Muszą wszystko otworzyć. Bomba może być w jakiejś walizce. Oni szybko pracują, niech pan się nie martwi, to nie zajmie zbyt wiele czasu. — Ale Carl stał, jak wrośnięty w ziemię. Co robić! Uciekać póki to jeszcze możliwe? Ta myśl była najbardziej nęcąca ze wszystkich, które przebiegały mu przez głowę. Ale nie mógł tak po prostu i zwyczajnie zostawić walizki. Oni nie pochwiliby takiego rozwiązania. A może będzie miał szczęście i pudełko nie zostanie znalezione — może rewizja będzie pospieszna i niebystro dokładna? Może nie będą tak dokładnie przeszukać prywatnych bagaży? Czyż lotniska nie otrzymywały często tego rodzaju doniesień? Ludzie, którzy przeprowadzają rewizję są już chyba przyzwyczajeni, zbliżani i sceptycznie odnoszą się do swojej roboty. Ale z drugiej strony fakt, że na pokładzie znajdował się premier państwa, w którym ciagle coś się działo, nadawał znaczenia temu donosowi i być może tym razem będą oni uważniejsi niż zazwyczaj. Otworzą JEGO walizkę, sprawdzą jej zawartość, znajdą puszkę, zmuszą go do jej otwarcia. Wzrastalo w nim napięcie nerwowe. Zdał sobie sprawę, że tylko jedno pozostało mu do zrobienia. Musi odnaleźć walizkę zanim zostanie zrewidowana i czym prędzej z nią uciec. Ot, wyjście, którego oczekują po nim szefowie. Jeśli to zrobi, będzie wzruszeni i pogratulują sobie, że wybrali tak rozsądnego faceta do tego rodzaju zadania.

Wszedł do hallu i zapytał przechodzącego bagażowego:

— Nie wie pan, dokąd przenoszą bagaż z opóźnionego samolotu?

— Chyba do sali nr 6, obok głównej poczekalni.

Odszedł szybko starając się iść swobodnie. Otworzył drzwi i stwierdził, że istotnie, wnoszą tu bagaże, składając je na stos, bez zachowania jakiegokolwiek środków ostrożności. Carl pożałował wrokiem każdą wnoszoną walizkę. Nadzieja, że uda mu się niepostrzeżenie zabrać bagaż, sprawiła, że serce waliło mu jak młotem. Bagażowi wyszli na chwilę, aby znieść resztę, on tymczasem rzucił się naprzód, bo dojrzał ją! Jest, zwykła białoniebieska walizka lotnicza wydała mu się jeszcze bardziej kompromitująca niż kiedykolwiek. Rzut oka dookoła. Nikt nie widzi! Co za cud! Szybki odwrót do drzwi poczekalni, krew „etnicza” w skroniach. W chwilę później był już w tłumie, ledwie śmiał oddychać. A teraz jak najdalej od lotniska! Drżał z emocji i był niemal rad z tego, co się stało. Wsiadł do takśówki z całą satysfakcją zatrzasnął drzwiczki. Podał adres kierowcy i oparł się wygodnie o poduszkę. Był bardzo z siebie zadowolony.

W pół godziny później wsiadł do windy wiodącej do wspaniałego luksusowego apartamentu. Na dyskretne stukanie do drzwi ukazało się wielkie chłopisko o wygładzie szubienicznika, z rewolwerem za pasem.

— Już z powrotem? Zdziwił się.

— Tak — odpowiedział krótko Carl. Człowiek zamknął drzwi.

Przewodnik po nocnym Krakowie (III)

mi sie, że pod brzuchem wyrosła mi główka kapusty. Potem zeszył się dziwycenta z całej okolicy i kazdo urwala po jednym listku, jaze sie ostol som plq. Wtedy sie obudzilem i to byla prowada. Ten sen opowiadal Andrzej Pawlowski w „Urzędzie Rejestracji Snów”. I to była już trzecia premiera kabaretu Pod Budą. Pomysłu do tego przedstawienia dostarczył Julian Tuwim.

Spiwano tam m. in.:
Po co się, bracie, mamy złościć?
— w zgodzie nam kraj budować trzeba,
Nikt mądrym pracy nie zadrześci,
wiece nie zadrześci głupim chleba.
A potem była czwarta premiera, którą na „FAMIE” w ub. roku kabaret Pod Budą wykukal pierwsze miejsce. Sensacja, zaskoczenie, nieustający wzrost krzywej poziomej, 29 lutego 1972 — „Tyte ruchu a tu stop, czyli sensacja w Do-

TANIA ROZKOSZ i inni



wiązek o charakterze kulturalnym. Ale wszelako, jak krzychał kiedyś żak-Mazan: Chanrda dzwoni tylko w puste szklanki. Pij kefir! — tak i teraz zawołajmy o zmierzchu podobnie, wypełniając szklki białym wytrawnym.

Wy też macie tylko ten jeden problem — co zrobić z tak pięknie rozpoczętym wieczorem? Chodźcie, zaprowadź was do „Budy”. Co to „Buda”? Odpowiadam: Interclub z koniakiem, muzyką i blondynkami. Kilku autentycznych żaków tu znajdziesz. Oczywiście, w wypadku wyboru kierunku od Collegium Novum, ulica Ział do rogu Czapskich. Tak, tak, to właśnie niedaleko stąd miał przed wojną swoją „Różową Kukulkę” Puget-senior.

Nie znacie tego miejsca na mapie nocnego Krakowa? Odkryłem je dla was. Oto pierwsza Buda na grodzie, czyli jeden z najlepszych kabaretów studenckich Rzeczypospolitej, a w Krakowie — kabaret aktualnie bezkonkurencyjny.

Zanim rozpocznie się spektakl — pozwólcie — odrobina historii. W tempie telegraficznym (urządzenia na licencji szwedzkiej, treść — polska). Kabaret Pod Budą powstał w nocy z 20 na 21 marca 1969 r. w miejsce Teatru Małych Form WSR (Aktualnie AR) „Rezonans”, który przyjmując status studenckiego efemerydu, oparł przedzie splajtował. Na początku wyrzuceno aktora, próbującego omanić młodych adeptów tajemnej nauki o rolnictwie alchemia słowa i gestu, i przystapiono do pracy. Reflektownej, której pierwszym efektem stała się kabaretowa, jeszcze nie poskładana składanka z nie ujawnianym do dziś tytułem. Premiera — 14 czerwca 1969 r. Czytano tam anonsy z „Podgórzania”, Alek Galka śpiewał romanse rosyjskie, a Bogus Smoleń poza tym, że debiutował wyuczono ze Świerczyka „Piosenką o dzielnym kaczorku”, śpiewał song do słów własnej mamy:

A gdy przyszło wreszcie lato,
z nim kursów i praktyk pora,
posłał nas na naukę
wyższej jazdy na traktorach.
Podczas jazdy zrozumiałem
jeszcze to między innymi,
jak się czują Japończyki,
gdy przyjdzie trzęsienie ziemi.

„W Powroźniku bez zmian” — to druga premiera Kabaretu „Pod Budą”. Premiera już z tytułem. I to było 3 marca 1970 r. Siedzieli sobie gospodarze na przybie i się przegadywali. Tekst o polowaniu na kurdie przy wzmożonej aktywności patraków napisał pewien doktor socjolog. Gazdów odwiedziła wczasowiczka, czyli temperamentna, bodaj niebieskooka Marta Stanek i kilku prelegentów, którzy wygłosili parę interesujących wykładów. Między innymi o zbawienym zastosowaniu inseminacji i nawozów sztucznych. Wszyscy robili wesoło. Śpiewali, opowiadali, tańczyli. Tylko bracia Karwałow — Andrzej i Zbyszek — stanowili ponadto duet muzyczny.

Wigile, wcora leżalem na hali, na Kopieńcu,
grzełem się do słonecka i tam-zem usnął. Śniło

kach Wielkich”. Była to rzecz o niebywałym odkryciu lunety Kopernika i potomka tegoż uczonego — Franka Koperka w owej interesującej wsi. Wszystko oczywiście splajtowało, bo pewien tajemniczy „Stop” z powiatu odwołał przyjazd prasy i telewizji, tudzież wszelakie prawdopodobieństwo podobieństw.

Niewielka, piwniczna scenka. W tle perla i skały. „Dramat z życia Indian” to kolejna premiera. Tipi wodza Twarda Łupa. Bogus Smoleń — wódz śpiewa pieśń o głupim, popytanym ptaku, „dużo większym od naszych uróbl”. Zaczyna się zabawna, pełna nianowsów znaczeniowych, meandrow słownych, komicznych sytuacji i śmiesznych nonsensów — historia plemienia Indian, jakie nam bliskich, nam podobnych.

Małgosa Jensen, czyli Tania Rozkosz, żona wodza wykonuje kukanie zegara, kręci pedałami roweru, wytwarzając w ten sposób energię dla uruchomienia maszyny elektrycznej, którą goli się Twarda Łupa. Dzień zapowiada się ciekawie. Spotkania, narady, wizytacje, reforma szkolnictwa, skargi i zażalenia towów bizonów. Dialog poranny wodzostwa toczy się wartko. Umila go Rozrywka, czyli autentyczna Greczynka przypisana kabaretowi — Chariklia Moclos.

Śmiejemy się nocy w twarz. Najgłośniejsz z kombinacji Rady Plemienia, która programuje nowe oszczędności i pomysły racjonalizatorskie w dziedzinie przemysłu tytoniowego. Nie ma miejsca na odpoczynek. Telegram pismem węzełkowym. Córka wodza Niska-Srednia nie dopuszczoną do sesji. Wojna z naukowcami.

Szaw znów kręci pedałami, uruchamiając telefon. Rozmowa z Kimś gdzieś tam. Wszystko załatwione. Nawet niski wskaźnik kwalifikuje Niską-Srednią do stypendium, bo:

Latós wielka susza była
i zniszczyła cały plon,
trawa w siano się zmieniła,
a wiadomo z siana co?
Stonka zżarła nam ziemniaki,
zboże poplamila rąza,
traktor zeżarł traktorysta,
bo o głodzie nie mógł spać.

Suchy Kai-boy pisze książki. Esej o rasach bydła („Czerwone i czarne”), instrukcja dla ogrodników („Szklane domy”), książka o zwalczaniu kryzysów gospodarczych („Sen nocy letniej”).

Ani się obejrzelismy, jak wyrósł nam niepostrzeżenie w grodzie krzepki, myślący, dobry, z roku na rok lepszy kabaret.

Wychodzimy tedy uspokojeni, wiatując na część autorów tekstów Elżbiety Smolenowej i Mietka Janika — autora wszystkich opracowań muzycznych:

Pod Budą, Pod Budą
Komisja do walki z nudą,
co działa — kiedy nie śpi,
kabaret otwiera dzień.

Choć Buda — co prawda — nie bawi gdy jest,
lecz bez niej samotny jak pies.

HENRYK CYGANIK

— Gdzie on są?
— Na konferencji. Nie wolno wchodzić.
— Ale ja muszę.
— Co to znaczy — muszę? Co masz ważnego?

— To — powiedział Carl zwięźle, podnosząc walizkę.
— To postaw ją tutaj. Ja im oddam. A teraz zjeżdżaj. Oni czekają na kogoś.

Carl otworzył usta, aby zaprotestować, ale na próżno Człowiek otworzył drzwi i wypchnął go bezceremonialnie na korytarz. Carl wahał się jeszcze chwilę a potem podszedł do windy.

W apartamencie przeladowanym lukusowymi meblami siedzieli wzdłuż długiego stołu z polyskującego mahoniu.

— Dzwie się, że zgodzicie się na tego rodzaju robotę — powiedział jeden z nich. Zapytany wzruszył ramionami.

— A dlaczego nie? Czy ich pieniądze są gorsze?

Drzwi otworzyły się i wszedł człowiek o wyglądzie szubienicznika. Trzymał w ręku walizkę ale oni nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi, wobec tego postawił ją w kącie i cicho wyszedł.

— Kto miał to wnieść do samolotu?

— Carl. Luca. Od lat już robi takie głupstwa dla nas. Powiedziałem mu, że to transport heroiny do Chicago. Jest tam dość dynamitu, aby poszło w drzazgi dwa-nasile takich samolotów.

Ten, który to powiedział, odsunął rękaw, aby spojrzeć na zegarek.

— Wybuch nastąpił za 50 sekund.

Kiedy Carl skurcał w przecznicę dobiegł do niego głuchy odgłos. „Bomba, czy co?” — pomyślał zaciekawiony. Ale nawet się nie odwrócił.

DOLAND HONIG
TŁUMACZYŁA: WANDA MAJEWSKA



Krowodrza

Spółecznie dla dzielnicy

Plan prac wykonywanych w czynach społecznych w ciągu I półrocza br. w dzielnicy Krowodrza miał zamknąć się kwotą 14.150 tysięcy złotych. W rzeczywistości plan ten, mimo niesprzyjającej pogody w ciągu miesięcy wiosennych i lipca, wykonano z nadwyżką. Wartość robót wykonanych siłami społecznymi zamknęła się kwotą 14.270.100 zł. Mieszkańcy dzielnicy, pracownicy zlokalizowanych tu instytucji, młodzież szkolna i studencka przepracowali ok. 133 tysiące godzin roboczych przy remontach ulic, poprawianiu nawierzchni, wykonywaniu trasowników, zieleni. W trakcie

robót przewieziono cegły, kamienia, ziemi i piasku ok. 52 tys. ton, co wymagałoby użycia do transportu 52 pociągów towarowych. Przedsiębiorstwa użyły do wykonania szeregu prac własnego sprzętu ciężkiego: spychaczy, koparek, walców drogowych, samochodów ciężarowych. Wspólnym wysiłkiem wykonano twarde nawierzchnie i chodniki na 22 odcinkach ulic w tym konieczną dla komunikacji autobusowej petle komunikacyjną w Olszanczy w Mydlnikach — miejscowościach w bieżącym roku przyłączonych do dzielnicy Krowodrza. Ponadto wykonano rów-

niez parking przy ul. Włoczków. Specjalne podziękowanie otrzymał Dzielnicowy Komitet Czynów Społecznych od KW PZPR za szczególnie troskliwe przygotowanie terenów przed Ogólnopolską Spartakiadą Młodzieży. Wykonano wówczas w rekordowym terminie 22 dni dodatkowy parking przed halą „Wisły” i szereg innych robót. Szczególną uwagę zwracano na sprawność organizacyjną, właściwe wykorzystanie sprzętu, transportu pracującego przy realizacji czynów społecznych. (ag)

Jeden z największych ośrodków ruchu turystycznego w kraju i szczyt urolopowych wyjazdów. Czyli — krakowski Dworzec Główny w środku lata. Przy kasach kolejki, w poczekalniach tloł, na peronach tłumy. Kiedy wysiedliśmy z naszego pociągu, do przyjazdu pociągu do Gdyni, którym mieliśmy dalej pojechać mieliśmy około piętnastu minut. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że zanim nasze baze i my sami znajdziemy się w nim trzeba nam będzie go na dworcu... odszukać.

Dobrze tym, którzy w drodze nad morze przechodzili przez hall krakowskiego dworca! Mieli okazję zobaczyć i dyne tablice z rozkładem jazdy! Biada jednak tym, którzy — tak jak my — przesiadali się do owego pociągu z innych pociągów.

Za dawnych, dobrych czasów, podziemne przejścia między peronami zaopatrzono w podświetlone tablice informujące, że na przykład do Warszawy odjechać można z

peronu trzeciego, a do Rzeszowa z czwartego, czy odwrotnie. Dziś są tutaj podświetlane... reklamy. Jesteśmy głęboko przekonani, że „przez PKO do własnego mieszkania” i „tylko tak — PKO i fiat” ale w sytuacji w jakiej się znaleźliśmy — zagubieni i kwadrans przed odjazdem naszego pociągu — w żaden sposób nie mogło nas to usatysfakcjonować. Ponieważ przypomnieliśmy sobie, że poza sezonem pociąg w kierunku Gdańska odchodził z trzeciego peronu — tam się udaliśmy. Jakaż była nasza radość, kiedy naprzeciw schodów ujrzelśmy budkę z symptomatycznym napisem „Informacja”. Wydelegowana przez nas osoba weszła, zamknęła drzwi za sobą i — zgodnie z instrukcją — zaczęła czekać na zgłoszenie się informatora. Obok czarnej tubki paliło się oblicujące czerwone światło. Czekaliśmy jednak na próżno.

Powiedziała więc: „Halo!” Nic. I jeszcze raz: „Halo!”. Nic. Daliśmy spokój budce. Rozdzielni na dwie grupy przebiegaliśmy peron w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby udzielić nam informacji o gdyniskim pociągu. I znaleźliśmy! Ów kolejarz, skromnie z boku peronu stojący nieświadomy był jak potrzebna i ważna osoba jest dla nas i innych, równie nieświadomych i niedoinformowanych. „Gdynia?” — powiedział — to na drugim peronie! I na tę chwilę właśnie czekaliśmy. A potem rozglądaliśmy się — już spokojnie — w poszukiwaniu tablic, budek informatorów itp. Nad głowami szumiał nam absolutnie niezrozumiały bełkot megafonów, muzyka konkretna naszych dworców. Budka była. Czynna. Ale jedna. Proponujemy dla niej nazwę — „Ostoja pasażerów”. (ban)

Mówi mi red. Zbigniew Guzowski: „Kpisz, ośmieszasz, ironizujesz. Może byś wreszcie kogoś albo coś pochwalił. Tęczycejesz bracie! Nie wiem czy mam rację, ale tłumaczę ci, że nieuczciwie jest rozdzierać laurki, bo nigdy nie wiadomo czy czo-

Zina leży w dobrym tonie. I ja też tak uważam, choć profesor nie obdarował mnie nigdy obrazkiem malowanym „piórkiem i węglem”. Nieprzypadkowo posilkuję się tutaj nazwiskiem prof. Wiktora Zina. Mam szacunek i podziw dla ludzi, którzy potrafią swoje prywatne zamiłowania,

czeka, kiedy po raz pierwszy zaproponował Krakowskiemu Towarzystwu „Venus 73” wplynęło 3151 prac. Nadeślalo je 739 autorów z 46 krajów. Honorowy gość salonu, jeden z najwybitniejszych fotografików świata prof. Willy Hengl z Linzu oświadczył: „Stalście się prawdziwym światowym centrum fotografii w tej dziedzinie”. Tak więc nasi fotograficy — dzięki obrotności i pomysłowości Władysława Klimczaka — ukazują innym niezwykłą urodę Polek, dowodzą, że są artystami wrażliwymi, su-

Brunon Rajca

Rajcujemy na A — B (w środy)

Gloria Klimczakowi!

wiek nie będzie posądzony o jakieś konszachty bądź koligacje. Na domiar złego niemal wszyscy wybitni i wyróżniający się w tym mieście Obywatele, to albo moi znajomi albo koledzy. Napiszę słodko o jednym przyjacielu to gorzko znów będzie drugiemu przyjacielowi. Najlepiej więc — w takiej sytuacji — albo milczeć, albo niezmienne glori-fikować prof. prof. Mariana Kontecznego i Wiktora Zina. Te nazwiska nie wywołują już nieczytych sprzeciwów. Już przynajmniej i słusznie uważa, że odnawianie najlepszych pociągów na cześć prof. Wiktora

swoje namietności zaszczytają innym. Rzeki kiedyś Chopin: „Szczęśliwy kto może być kompozytorem i wykonawcą zarazem”. Nawołujemy do inicjatywy. Honorujemy pomysły. Namawiamy do przedstawiania ciekawych i śmiałych projektów, rozwiązań, propozycji. No, ale kiedy już ktoś przedłoży oryginalną, odważną i kontrowersyjną koncepcję, to natychmiast zawistni, zazdrośni konkurenci okrzykiem i spowieściwają. Myślę więc, że sztuka sukcesu tkwi jedynie w konsekwencji i o d o d z e. „Magistra Władysława Klim-

Nie poddał się. Nie ustąpił. Na IV międzynarodowy konkurs „Venus 73” wplynęło 3151 prac. Nadeślalo je 739 autorów z 46 krajów. Honorowy gość salonu, jeden z najwybitniejszych fotografików świata prof. Willy Hengl z Linzu oświadczył: „Stalście się prawdziwym światowym centrum fotografii w tej dziedzinie”. Tak więc nasi fotograficy — dzięki obrotności i pomysłowości Władysława Klimczaka — ukazują innym niezwykłą urodę Polek, dowodzą, że są artystami wrażliwymi, su-

Klub pod Szarą Kamienicą

Któż jej w Krakowie nie znał! Zbudowana w XIII w., przebudowana w XVII w., wielka, szkarpa wzmocniona, stoi na rogu ul. Siennej i Rynku Głównego. Mieszkał w niej Zborowski i Zebrzydowski, mieszkał Henryk Walezy. Kwaternę główną miał tuż! Tadeusz Kościuszko, tu pracował podczas krakowskiego powstania w 1846 r. rewolucyjny Rząd Tymczasowy.

Szara Kamienica przechodzi generalną kurację odmładzającą. Pracuje tutaj brygada starszego mistrza budowy Władysława Dyrca z Pracowni Konserwacji Zabytków „Musimy wstrzymać prace — mówi mistrz — nie wolno nam zagrozić placu budowy aż do października. Rok Kopernikowski, imprezy — cofnięto nam pozwolenie na zajęcie chodnika”.

Schodzimy do piwnic. Chłód.

Wycieczki Koła Grodzkiego

Koło Grodzkie PTTK organizuje w dniu 12 sierpnia 1973 r. wycieczkę nizinna, pieszą z dojazdem koleją. pn. „Tu Bracia Polscy znajdowali schronienie”, trasa nr 1: Wieliczka Rynek — Grabów — Pawlikowice — Raciborsko — Lednica Górna — Wieliczka; trasa nr 2: Wieliczka Rynek — Grabów — Pawlikowice — Lednica G. — Wieliczka. Zbiórka na Dworcu Gł. pod zegarem o godz. 8.30 — odjazd 9.10. Bilety wycieczkowe powrotne do Wieliczki.

Informacje, zgłoszenia i wpłaty w biurze Koła Grodzkiego PTTK przy ul. Basztowej 6, codziennie w godz. od 16—19.00.

Przerwy w dostawie prądu

Zakład Energetyczny Kraków-Miasto przeprasza za przerwy w dostawie energii elektrycznej w związku z kapitalnym remontem sieci energetycznej niskiego napięcia:

— w dniach od 6 sierpnia do 15 września w miejscowości Pychowice

— dnia 11 sierpnia, w godz. 9—13, przy ul. Bułgarskiej, Ruczał, Turonia, Borsuczej, Stakowej, Pszczelnej, Pastwisko, Pastwisko Bocznej, Łany, Śasiedkiej, Liściastej.

Bliższych informacji udziela Rejon Energetyczny Nr 3 „Podgórze”, tel. 586-80, wewn. 554.

Wypadki

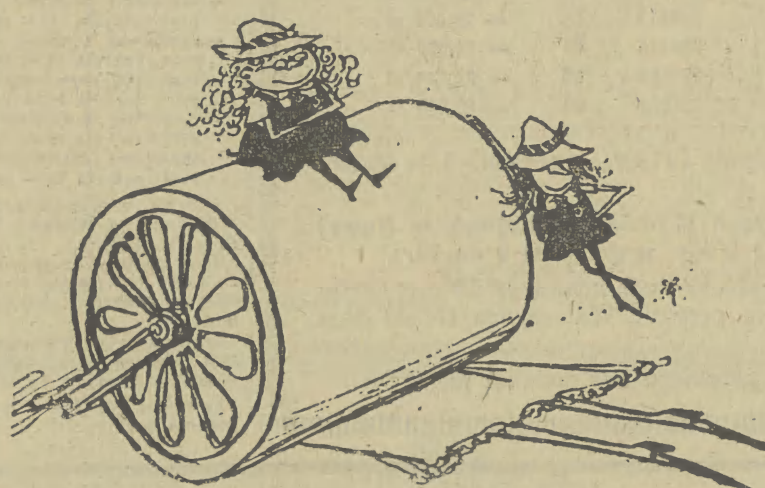
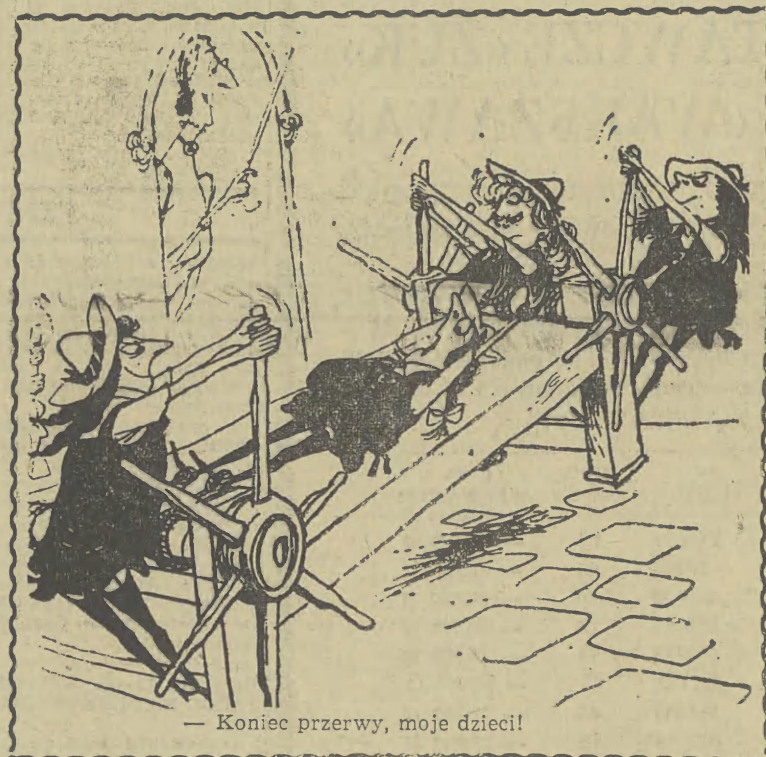
● Potracona przez samochód 92-letnia Maria Hutko (zam. ul. Wenecja 19) doznała ogólnych potłuczeń i złamała nogi. Przewieziono ją do szpitala na ostry dyżur chirurgiczny.

● Ambulatorium Chirurgiczne Pogotowia Ratunkowego udzieliło wieczorą pomocy 130 pacjentom. (p)

Niedoinformowani



(ban)



— Te wyrzuci! Nie są trujące.



— Czy może jeszcze któraś się nudzi?

Wybór i opracowanie: HALINA GACH

Odcinek A do sprawdzenia		Data zakładu	
1	8 15 22 29	1	8 15 22 29
2	9 16 23 30	2	9 16 23 30
3	10 17 24 31	3	10 17 24 31
4	11 18 25 32	4	11 18 25 32
5	12 19 26 33	5	12 19 26 33
6	13 20 27 34	6	13 20 27 34
7	14 21 28 35	7	14 21 28 35
Odcinek B do kontroli		Data zakładu	
1	8 15 22 29	1	8 15 22 29
2	9 16 23 30	2	9 16 23 30
3	10 17 24 31	3	10 17 24 31
4	11 18 25 32	4	11 18 25 32
5	12 19 26 33	5	12 19 26 33
6	13 20 27 34	6	13 20 27 34
7	14 21 28 35	7	14 21 28 35
Odcinek C dla właścicieli		Data zakładu	
1	8 15 22 29	1	8 15 22 29
2	9 16 23 30	2	9 16 23 30
3	10 17 24 31	3	10 17 24 31
4	11 18 25 32	4	11 18 25 32
5	12 19 26 33	5	12 19 26 33
6	13 20 27 34	6	13 20 27 34
7	14 21 28 35	7	14 21 28 35

NOWA ATRAKCYJNA GRA 5 z 35

„MAŁY LOTEK”

Szczegóły na odwrocie kuponu

Z okazji nowego TOTKA

CZARNY HUMOR PO ANGIELSKU: ROLAND SEARLE

Nieszczęście wzbudza śmiech, albo nieszczęście tak „przyprawione”, że wzbudza już tylko wesołość — tak można by, w dużym uproszczeniu naturalnie, określić istotę czarnego humoru. Jest to gatunek komizmu szczególnie ulubiony przez współczesnych rysowników. Coraz częściej spotykamy go też w literaturze i w filmie.

Przedstawiamy dziś Rolanda Searle'a znakomitego angielskiego grafika urodzonego w 1920 roku, który otrzymał w 1971 r. nagrodę ufundowaną we Francji za najlepsze karykatury w dziedzinie czarnego humoru. Najpopularniejszym cyklem jego rysunkowych makabresk są odległe już w czasie (1952—55) „piekielne panienki” czyli portrety „rozkosznych” pensjonarek jednego z angielskich college'ów dla dziewcząt. Ocenę pozostawmy czytelnikom. Searle ma wielu naśladowców w różnych krajach. Ma ich również w Polsce. W następnych numerach zaprezentujemy sylwetki Rolanda Topora i Andrzeja Czeczota. Stworzyli o-kazję do porównania tak różnych przecież postaw twórczych tych karykaturzystów. Searle proponuje nam czarny humor po angielsku. Bierzcie się to choćby z tego znamiennego zdziwienia wymowy obrazu — panienek pochłoniętych „zabawą w tortury”, a angielską flegmą płynącą z wypowiedzi nauczycielki, łapiącej swe wychowanki na gorącym uczynku — „Koniec przerwy, moje dzieci!”

— Bardzo was proszę moje dzieci, trochę ciszej!